№ 44 WARSZAWA, DNIA 2 LISTOPADA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.



ODZIMEK.

.... Nachylała się nad nim,
na ciemnych włosach, na czole składała pocałunek...

MARJA KACZKOWSKA.

ODZIMEK CZYLI RYCERZ ŚPIĄCY

(BAŚŃ TATRZAŃSKA).

Ciąg dalszy.

— Kimże bo jesteś, o pani? — zawołał góral—powiedzcie mi, bo nic z tego wyrozumieć niemogę i niewiem, kogom za kumę miał.

Tu czarodziejka wstała, a tak wielką i tak piękną zdała się Krystyniukowi, że zadrżał i omało co dziecka nie upuścił.

— Jestem Zimą —rzekła — królową zimy, a mój ojciec Mróz, towarzyszy mi wszędy, ale nie zawsze się ludziom ukazuje. Odbiera on siłę do pracy, często i na śmierć zamrozi. On ziemię ściska, rzeki lodem okrywa, a skoro się zmoże w sile, biada tam, gdzie zawita. Jeżeli ja przed nim zdążę, zagony śniegiem zaścielę, utulę matkę ziemię puchem, posiew człowieka ochronię, ale jak na nią padnie mróz i w swojej pięści ściśnie, to wszystko zmarnuje! Obecnie mieszkam w waszych stronach z dworem swoim i jeszcze parę miesięcy tu pozostanę. Chowajcie syna waszego na dzielnego górala, a uczcie go pilnie, aby był mądry i roztropny. Niech też nauczy się grać pięknie na fujarce albo kobzie, gdyż muzykę wielce lubię. Odwiedzać was co rok będę, a jak czas przyjdzie, to się o mojego chrześniaka upomnę—jeżeli takim będzie, jakibym go chciała mieć.

Tu się Zima zaśmiała, ale tak strasznie, że Krystyniuk się zatrząsł ze strachu i dziecko do piersi przycisnął.

Zima głową skinęła:

— Idźcież szybko - dodała—noc zapada, a pilnujcie dobrze syna, żeby wam go nie porwano. Abyście zaś nie zbłądzili idąc, dam wam przewodnika, najdzielniejszego dworaka, Juhasia, on was doprowadzi. Bywajcie!

I zanim się góral opamiętał, już królowa w mgłach śnieżycy coraz silniejszej, rozwiała się, zapadła, zginęła, jak senne widziadło.

Karzeł jeden pozostał przy góralu, niecierpliwie nóżkami tupał, nawołując do pośpiechu, bo mróz się wzmagał, a śnieg skrzypiał pod stopami.

Góral gwiazdy dane dla synka, schował, otulając niemowlę, które płakało—czy za matką rodzoną, czy też za znikłym obrazem czarodziejki?

Prędzej aniżeli mógł pomyśleć, stanął ojciec z dzieckiem u drzwi chaty. Tu karzeł Juhaś pokłonił się czapką mu do nóg i zniknął.

W chacie góral zastał żonę lepiej, niż zostawił. Siedziała przy kominie warząc wieczerzę, piekąc w popiele ziemniaki.

Opowiadała, że wkrótce po wyjściu męża usnęła a sen był miły i pokrzepiający, iż obudziła się zupełnie zdrowa i rzeźka. Teraz wzięła dziecko do piersi, a mały, choć trochę był zziębnięty, rozglądał się po izbie, jakby czegoś szukał, oczkami wodził i policzki miał zaróżowione. Wyglądał na dziecko paromiesięczne. Wkrótce nasyciwszy się pokarmem matczynym, usnął smacznie.

Matka złożyła dziecko do kołeby z wiciny, zawieszonej u pułapu, a oboje rodzice stali zapatrzeni, w swoje kochanie— w jedynaka! Roili sobie, jaką im będzie z czasem pociechą, ten ich Jontek ukochany.

Krystyniuk, posiliwszy się wieczerzą, opamiętał się, wspomniał o przygodzie, jaka mu się przytrafiła w drodze, a która teraz, kiedy się w chacie znalazł, zdawała się mu, bałamutnem widzeniem i tylko gwiazdy, brzęczące w kieszeni, uprzytomniały prawdę.

Rozpoczął więc opowiadać żonie podróż swoją, spotkanie ze zjawiskiem nadziemskiem, przychylność Zimy dla dziecka, oraz chrzest. Wspomniał też, że ona go Odzimkiem nazwała i tak wołać na niego poleciła. W końcu rzucił na stół owe gwiazdy srebrne, które zadźwięczały, upadając.

Matka zdziwiła się. Z początku słuchała z niedowierzaniem całej opowieści, ale kiedy zobaczyła świecące gwiazdy, tknąć ich nie chciała. W sercu jej zbudziło się przeczucie nieszczęścia, jakie dziecku groziło. Długo w noc usnąć nie mogła, ot zwykle jak matka, byle czem trwoży się i niepokoi, choć czasem kochające serce ma dar przeczucia, niby jasnowidzenia.

— Hej, hej—mówiła potem często do męża — byle to nie ode złego szły te podarki dla Jonteczka. Byle nie chwyciła go jaka wiedźma utrapiona, na naszą niedolę!

Mąż śmiał się z obaw żony, a na syna często wołał: Odzimek, choć tego matka nie lubiła, mówiąc, że święty Antoni patronem dziecka, i niechaj go od zaguby chroni.

. . . .

Szły lata za latami. Jontek-Odzimek rósł, chował się zdrowo, od najpierwszych chwil rozpoznania był nad wiek roztropny, mądry i ciekawy do nauki, do książki. Wcześnie do szkoły chodzić zaczął, czytał biegle, pisał wyraźnie i czysto, do każdej roboty był chętny i sprawny, jak mało dzieci w jego wieku.

Z każdym rokiem Zima zaglądała do tatrzańskiej doliny. Szła szronem i śniegiem obfitym, okrywała bielą gór podnoża, osypywała nim smereki i limby podniebne.

Do chaty Krystyniuka, nowe słała podarki dla swego chrześniaka, ale sama do niej nie wchodziła. Jawiła się jeno we śnie, najpierw dziecku, potem chłopcu kilkoletniemu, wreszcie wyrostkowi. Stawała jak widmo nad śpiącym i źrenice lodowe wlepiała w śliczne liczko chłopięcia. Nachylała się nad nim, na ciemnych włosach, na czole składała całunek. Nie musiał on być jednak zimny, jak powiew mrozu ze szczytów gór, bo po każdych odwiedzinach takich, chłopiec śnił niespokojnie, majaczył jak w gorączce, budził się rozpalony, chodził chmurny i w sobie zamknięty. Ojciec gwiazdy od Zimy składał, spieniężał i cieszył się wzmagającem bogactwem; ale matka, nieboga, płakała i coraz większy ból, lęk o jedyne dziecię, przejmował jej serce.

(D. c. n.)

LEGENDA.

W dzień Zaduszny o północy,
Zbudzone ze snu
Tajemniczym czarem mocy,
W szatach mglistych, jak opary,
Z sarkofagów wstają mary...

Z trumien wstają królów duchy —
Wkoło groźny szmer,
Szmer szkieletów słychać głuchy...
Orszak mar wychodzi w ciszy,
Z pod kościelnej mrocznej niszy...

I obchodzi zamku mury
Orszak mar tych wkrąg,
Taki smutny i ponury,
Jakby niósł win ciężkich brzemię — —
Patrzy z żalem na swą ziemię...

Wkoło szumią zeschłe liście
Pod stopami ich,
Idą zwolna, uroczyście,
I sztandary jasne niosą,
Krwi i łez skropione rosą...

A o świcie się rozwiewa
Zmartwychwstały tłum — —
Wtedy szumią wszystkie drzewa,
Dzwon na wieży jęczy stary...
W trumnach leżą królów mary...

M. Ch.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Nie wyrzekłem się jednak nadziei ujrzenia jej kiedyś. Po rzeczach wprost cudownych, jakich dokonałem, nic mi się nie zdawało niepodobnem. Sygnały moje funkcjonowały wybornie. Za pociśnięciem kolejnem trzech guzików zapalałem lub gasiłem trzy grupy lamp elektrycznych, które mieszkańcom Ziemi zastępowały linje i kropki alfabetu Morse'a. Początkowo sam spełniałem tę pracę, lecz później wyuczyłem jej Niewidzialnych, którzy się z niej wywiązywali bez zarzutu, powtarzając znakami świetlnemi historję moich przygód, którą spisałem linjami i kropkami czarną farbą na białej desce. Sygnały te powtarzałem niezmordowanie, ufając, iż zostaną wreszcie zauważone przez ziemskich astronomów.

W czwartym miesiącu zaczęły się poja-

wiać częste przerwania prądu. Było to skutkiem zmniejszenia się siły burz w okolicy lasu metalowego: prócz tego, liście drzew tych pokryły się warstwą delikatnego kurzu, który niejako odosobnił metal od działania elektryczności. Przypisywałem to przyczynom naturalnym — niestety, wkrótce przekonałem się o swojej omyłce.

Ale zbliżam się już do ostatecznej katastrofy.

Było to przy końcu piątego miesiąca: siedząc na platformie jednej z wież, patrzyłem na długie linje sygnałów, które się zapalały kolejno w zmroku wieczornym. Zanosiło się na burzę i Niewidzialni pokryli się w najgłębsze ze swych kryjówek.

Nagle i niespodziewanie, jak piorun z jasnego nieba, rozdarł powietrze krzyk rozpaczny, znany mi dobrze, będący wyrazem najwyższej boleści u Niewidzialnych. Wydarł się on z środkowej czeluści wieży i jednocześnie cała chmara nieszczęsnych stworzeń, z wyciem i jękami, w których zdało mi się słyszeć skierowane ku mnie groźby i złorzeczenia, pomknęła z przerażającą szybkością ku przeklętym krainom Południa...

Osłupiałem! Byłem tak zgnębiony i przybity, że nie mogłem myśli zebrać: nie mogłem pojąć, że wszystko jest stracone, że Wielki Mózg, który sądziłem zamierającym, odzyskał nagle swą moc i władzę...

Patrzyłem oszołomiony, wpół-przytomny, jak z coraz dalszych wież wylatywały z rozdzierającym krzykiem inne gromady, tworząc pod gwiaździstem niebem czarną, wyjącą chmurę. Poczucie mej bezsilności napełniało mię wściekłym gniewem.

W tej chwili huk straszliwy wstrząsnął powietrzem: wzburzone fale dosięgały prawie wierzchołka wież, a nad memi sygnałami ukazał się olbrzymi snop ognia. Jasne linje lamp znikły.

Pojąłem, iż moje dzieło zostało zniszczonem przez gniew i zemstę Wielkiego Mózgu, wyrwanego nieznanym mi sposobem ze swego odrętwienia, w które go pogrążyłem przez przerwanie prądu elektrycznego!

Zanim oprzytomniałem z mego zdumienia, mnóstwo Niewidzialnych rzuciło się na mnie z wściekłością. Byli zapewne przekonani, że ich zdradziłem, lub tylko może spełniali wolę mego straszliwego przeciwnika — dość, że rzucili się na mnie, jak sępy na zdobycz. W jednej chwili byłem otoczony całą ich gromadą, ogłuszony ostremi, przejmującemi krzykami; rzucili mię na ziemię, uderzając silnie swemi mackami. Niektórzy chwytali mię za gardło, jakby chcąc zdusić, inni ciągnęli mię na brzeg platformy, aby wrzucić w rozszalałe morze. Wydzierali mię sobie kolejno, szarpiąc na wszystkie strony tak, iż myślałem, że postanowili mię rozćwiertować.

W chwili ich napadu miałem na głowie hełm opalowy — lecz wkrótce zdarto mi go z głowy i nie wiem, co się z nim stało: wiem tylko, iż od tej chwili było mi jeszcze gorzej — odczuwałem ból, razy, nie widząc tych, którzy mi je zadawali. Było to okropne! Byłem mocno przekonanym, iż nadeszła moja ostatnia chwila, lecz zniszczenie sygnałów i przebudzenie się Wielkiego Mózgu były dla mnie tak wielkim ciosem, że wobec niego bladło i malało wszystko — nawet śmierć sama!

Nagle uczułem jak ramiona tych potworów owijają silnie moje ciało i uczułem się wśród szumu ich skrzydeł uniesionym w próżnię...

Porwały mię w otwór środkowy wieży. Czułem straszliwe, szybkie, zawrotne spadanie w jakąś głęboką przepaść... wreszcie straciłem zupełnie przytomność...

Odtąd nic więcej nie pamietam.

Otworzyłem dopiero oczy tu, między wami, gdyście mię przywrócili do życia.

(To nagłe i niespodziane zakończenie odbiło się zdumieniem na wszystkich twarzach. Robert się uśmiechnął na ten widok).

— Zdaje mi się — rzekł — że to, co mię spotkało po mojem omdleniu, da się łatwo

wytłómaczyć. Niewidzialni w ostatniej chwili cofnęli się przed odebraniem mi życia. Może przyczyną tego była niejaka wdzięczność za to, co dla nich uczyniłem, może obawa czyjej zemsty za śmierć moją; któż może znać logikę tych istot pierwotnych a tak skomplikowanych?

Przypuszczam, że pewna ich ilość broniła mię, więc wobec podzielonych zdań obrano drogę pośrednią. Poprostu zabalsamowano mię w sposób im znany, aby mię po pewnym przeciągu czasu obudzić z tego letargu. Co zaś do mego powrotu — nie mam żadnych danych pewnych; pozostają mi więc tylko domysły.

Najprawdopodobniejszym jest następujący: Wielki Mózg, po uniknięciu przygotowanej przeze mnie zguby, nie chciał znosić dłużej mej obecności na planecie nawet w stanie mumji; zapewne więc rozkazał Niewidzialnym, aby mię odesłali tam, skąd przybyłem...

Co zaś do sposobu, w jaki mieli to osiągnąć, to zdaje się, iż skorzystali z siły wybuchowej wulkanu, która mię wytrąciła poza obręb przyciągania Marsa, skąd mię Ziemia ściągnęła do siebie.

Siła wulkanów jest ogromną. Podług dzieła Martinez'a, Etna wyrzuca kamienie z szybkością ośmiuset metrów na sekundę, Wezuwiusz, Hekla i Stromboli mają siłę dochodzącą od 1200 — 1500 mt.

Cotopaxi, Pichincha, oraz inne wulkany Ameryki południowej wyrzucają ze swych kraterów lawę i kamienie z szybkością czterech kilometrów na sekundę.

Takich właśnie rozmiarów wulkany widziałem na Marsie, a siła ich wybuchu musi być nieporównanie większą, jeśli zważymy mniejszą siłę przyciągania i cieńsze warstwy powietrza.

Możliwem więc jest, iż kamienna bryła, z której mię wydobyliście, była wrzuconą w krater wulkanu; prócz tego, może Niewidzialni posiadają sposób — teoretycznie dość prosty — wywoływania wybuchów wulkanu i potrafią regulować i kierować siłę gazów podziemnych.

Mogłem więc powrotną podróż z Marsa na Ziemię odbyć w tych samych warunkach, jak różne bolidy, które wpadają corocznie w sferę przyciągania Ziemi.

— Niewytłómaczoną jest tylko dla mnie ta okoliczność — dodał Robert w zamyśleniu—że musiałem spaść właśnie tutaj... Nie mogę tego uważać za prosty przypadek; ale to już pozostanie zapewne tajemnicą Wielkiego Mózgu...

. . . .

Głębokie milczenie zapanowało po skończeniu tej bajecznej epopei. Nikomu nie przyszło na myśl zadawać jakie błahe pytania, lub składać banalne powinszowania. Tylko Ralf i miss Alberta zamieniali ze sobą znaczące spojrzenia, jak gdyby każde z nich wahało się z zabraniem głosu.

Wkońcu, na znak dany przez młodą dziewczynę, naturalista, patrząc w oczy Roberta, rzekł dobitnie:

— Mam ci do udzielenia ważną wiadomość, o której, po wysłuchaniu twego opowiadania, wątpić nie mogę: Niewidzialni zjawili się wraz z tobą na Ziemi!

— To niemożliwe! — zawołał Robert z silnem wzruszeniem — czy jesteś pewnym tego, co powiedziałeś?

— Najpewniejszym! Są tu i krążą dokoła willi! Zaruk je widział — twój brat, Jerzy, także!

D. c. n.

(Tłom. z fran. *K. W.*).

WYWIADOWCA

sceny z życia młodzieży angielskiej,

według dzieła twórcy organizacji wywiadowców (Boy Scouts), pułkownika Baden-Pawella,

opracował E. J. Kr.

Ciąg dalszy.

Wydają się zaś dalszemi, jeżeli są w cieniu; jeżeli patrzycie na nie przez dolinę; kiedy tło i przedmioty te są jednego koloru; kiedy patrzący leży lub klęczy na jednem kolanie; kiedy w powietrzu jest mgła.

Zabawcie się teraz w jaką grę. a gdy noc zapadnie i niebo usiane zostanie gwiazdami, objaśnię was, jak należy orjentować się w drodze podług nich.

Na dzień dzisiejszy została naznaczona gra „polowania na lwa".

Lwem miał być Henryk Brown. Przyczepił sobie zaraz żelazne ślady do nóg, zabrał garść ziarn grochu, oraz sześć piłek lawntennisowych i tak uzbrojony, pobiegł naprzód, a my wyruszyliśmy w ślad za nim po upływie jakiejś pół godziny.

Każdy z nas uzbrojony był również w piłkę lawn - tennisową lub zrobioną z gałganów, ażeby trafić nią w lwa, gdy go znajdziemy.

Lew może chować się, pełzać lub biedz, jak mu się podoba, lecz tam, gdzie natrafi na grunt twardy lub zarosły trawą, powinien co kilka kroków rzucać kilka ziarn grochu, ażeby wskazać swój ślad.

Jeżeli myśliwi nie zbliżą się do niego i nie znajdą go, gra uważa się za nierozegraną.

Myśmy jednak byli szczęśliwsi. Nie upłynęła nawet godzina od zaczęcia pościgu, gdy dopadliśmy do niego. Coprawda, Brown ukrył się tak starannie wśród krzaków, że nigdybyśmy go nie odnaleźli; tylko naraz z gąszczy krzaków wypadła piłka tennisowowa, i uderzywszy Herberta Fitzmoris, zmusiła go do ustąpienia z gry.

Zanim dostrzegliśmy Browna, padli, rażeni przez niego piłką: Jerzy Ginege i Deveny.

Wtedy dopiero wykryliśmy jego legowisko. Osaczyliśmy go wokoło i każdy z nas starał się trafić go piłką; a podnosić ich po rzuceniu nie wolno.

Jeszcze trzech z pośród nas raził Brown, aż wreszcie trafiony trzema kulami, padł zabity.

Śmiechu i gwaru było przytem coniemiara, zwłaszcza, gdy wszyscy zabici, z Brownem na czele, porwali się z ziemi.

Pozbieraliśmy potem piłki i w ordynku, ze śpiewem, wróciliśmy do obozu.

Czekał już tam na nas Dick i gdy dyżurni obozowi krzątać się zaczęli około posiłku, on, na naleganie nasze, zaczął mówić co następuje:

— Opowiem wam dzisiaj o pewnych cnotach, obowiązujących dawnych rycerzy, a które mogą być żywcem przeniesione do rzędu zalet, obowiązujących wywiadowców.

W Anglji rycerstwo powstało za króla Artura, przed wiekami.

Król też otoczył się drużyną dzielnych rycerzy i często siedział wraz z nimi wokoło ogromnego okrągłego stołu, stąd też i drużyna jego nosiła nazwę „Rycerzy okrągłego stołu".

Stół ten dotychczas widzieć można w Winchester.

Zasady obowiązujące rycerzy okrągłego stołu polegały na poniższem:

„Bądź zawsze gotów do boju, w zbroi, z wyjątkiem chwil, kiedy śpisz w nocy.

„Broń ubogich i pomagaj tym, którzy nie mogą sami siebie bronić.

„Nie rób nic takiego, co mogło by sprawić krzywdę lub ból innemu.

„Bądź gotów walczyć aż do ostatka w obronie swej oczyzny.

„Na każdem stanowisku staraj się zasłużyć sobie na uczciwe imię i dobrą sławę.

„Za wszelką cenę staraj się dotrzymać danego słowa.

„Podtrzymuj honor ojczyzny, choćby za cenę życia.

„Lepsza śmierć uczciwa niż życie haniebne".

Oto są zasadnicze przepisy, od których zaczęli rycerze dawnych czasów i które stanowią prawa obecnych wywiadowców.

Król Ryszard I, opuścił swe królestwo, rodzinę i wszystko, co miał, ażeby iść do Ziemi Świętej walczyć z wrogami chrześcijaństwa.

Tego szlachetnego czynu swego omal nie przypłacił utratą królestwa, gdyż w czasie długiej nieobecności, zdradziecki brat jego robił wszystko, ażeby w swe ręce zagarnąć tron.

W powrotnej drodze z Palestyny wpadł w ręce wroga swego, księcia Austryjackiego, który zamknął go w więzieniu, gdzie przemęczył się dwanaście miesięcy.

Miejsce uwięzienia jego odkrył trubadur Blondel. Wiedział on, że Ryszarda schwytano i wtrącono do więzienia gdzieś w Europie, lecz gdzie właśnie — nie wiedział; dla tego też obszedł wszystkie ważniejsze więzienia Europy i śpiewał pod ich murami ulubione pieśni Ryszarda, licząc na to, że ten usłyszy go ze swojej kaźni i da mu znak.

Próby jego uwieńczone zostały powodzeniem. Odnalazł miejsce pobytu swego opiekuna i udało mu się zdobyć dla niego wolność.

Bohaterem być można i za naszych dni. Niedawno pewien osiemnastoletni młodzieniec, zobaczył dziewczynkę, siedzącą na szynach w chwili, kiedy pędził po nich pociąg. Zrobił bohaterską próbę, ażeby ją uratować, lecz kulejąc na nogę, nie mógł ściągnąć dość spiesznie dziewczynki z szyn. Pociąg nadbiegł i zmiażdżył mu nogi.

Szlachetny poryw tego młodzieńca winien wam służyć za przykład uczuć rycerskich dla każdego wywiadowcy. Był to czyn samoofiarowania się w próbie ocalenia życia dziecka.

Charakterystycznym rysem charakteru każdego prawdziwego rycerza było to, że ciągle czynił dobro i pomagał każdemu. Wiedział, że każdy musi wcześniej czy później umrzeć, lecz przyznawał, że zanim wybije ostatnia godzina, każdy z nas winien czynić dobrze.

Dla tego też nie odkładajcie nigdy dobrych czynów, gdyż nigdy nie wiecie kiedy nadejdzie kres życia.

Pomnijcie o węźle na krawacie i o znaczku wywiadowcy — one to powinny przypominać wam o konieczności spełnienia dobrego czynu. Oddawajcie dobre przysługi nietylko przyjaciołom swoim i blizkim, lecz i ludziom obcym, a nawet i wrogom.

Podczas oblężenia Port-Artura w 1905 r., Japończycy przybliżyli się do fortyfikacji rosyjskich przy pomocy głębokich rowów, których oblężeni nie mieli możności ostrzeliwać.

W pewnym wypadku podprowadzili tak blizko podkop, że jednemu z żołnierzy udało się rzucić do niego list. W liście tym komunikował, że bardzo by chciał dać wiadomość o sobie do domu, matce, która się bardzo o niego niepokoiła, że zaś Port-Artura odcięty był ze wszystkich stron świata, prosił Japończyków o przesłanie listu jego matce. Do koperty włożył pieniądze na pokrycie kosztów przesyłki.

Żołnierz japoński, znalazłszy list, nie odrzucił go na bok i nie schował pieniędzy do kieszeni, lecz postąpił tak, jak powinien był postąpić prawdziwy wywiadowca,—oddał go swemu dowódzcy, a ten telegraficznie przesłał treść listu matce żołnierza, zaś odpowiedź wrzucił z powrotem do fortów rosyjskich, zawiadamiając o wykonaniu polecenia.

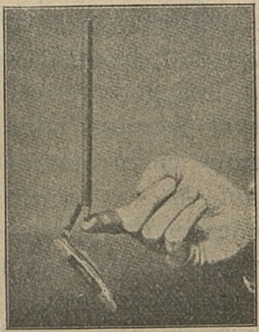
Są ludzie, którzy mają namiętność zbierania pieniędzy i nie wydawania ich nigdy. Oszczędność to zaleta chwalebna, lecz nie mniej chwalebnem jest wydawanie pieniędzy tam, gdzie one mogą przynieść pożytek. Jednakże, dając jałmużnę, należy robić to z rozwagą. Przez to chcę powiedzieć, że nie trudno dać grosz żebrakowi na ulicy, lecz tego czynić nie należy. Dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu, z pośród tych żebraków, nie są czem innem, jak zakorzeniałymi próżniakami i darmozjadami i, dając im jałmużnę, przez to samo zachęcacie ich do tego szkodliwego zajęcia.

D. c. n.

Ołówek, stojący na samym końcu.

(FIGIELEK)

O ile wetkniemy ostrze otwartego scyzoryka — pod prostym kątem — w ołówek, jak



to właśnie widzimy na załączonej rycinie, to natenczas po kilkakrotnych próbach doprowadzimy do tego, że ołówek zachowując stałą równowagę, utrzyma się pionowo, prostopadle do poziomu.

Podczas takich prób powinniśmy, rzecz prosta, mieć się na baczności, gdyż inaczej scyzoryk nagle zamknąwszy się, mógłby skaleczyć nam palec.

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Spojrzał na niego profesor i mimowolny uśmiech wybiegł na usta jego.

Pawełek przepasany był pasem, sfabrykowanym z różnych pustych pudełek i korków; takiż sam pas trzymał w jednej ręce, podając mu go, podczas gdy drugą ręką przyciskał do piersi jakiś węzełek.

— A ty znów co tu masz? — spytał go zdumiony profesor.

— Tu?—odrzekł Pawełek—broń i żywność, na wypadek, gdybyśmy musieli osiąść na bezludnej wyspie.

— Co ci też, chłopcze, strzeliło do głowy! — zawołał profesor — przecież na Wiśle niema bezludnych wysp i statki się nie rozbijają.

— Niema? — powtórzył z niedowierzaniem Pawełek—a przecież ja w książkach, a nawet niedawno w pismach czytałem, że okręty często ulegają rozbiciu.

— Tak, zdarzają się takie wypadki, ale na morzu... i to dość rzadko, dzięki najnowszym udoskonaleniom technicznym... Ale na rzece i to do tego tak wązkiej i płytkiej, jak nasza Wisła, podobny wypadek z parowcem zdarzyć się nie może.. Najwyżej utknie on na mieliźnie, i to go zaraz zepchną... Ot, patrz, już ruszamy w dalszą drogę.

Rzeczywiście połączonym usiłowaniom załogi udało się parowiec zepchnąć z mielizny, łopatki kół uderzyły o wodę, rozrzucając mirjady kropel wokoło, statek zadrżał cały i majestatycznie ruszył naprzód, prując szarą toń wody swoim szpicem.

— Płyniemy! płyniemy!...—zawołał uradowany Pawełek, lecz w tejże chwili radość jego przygasła, przycichła, i z cichem westchnieniem zdjął z siebie tak starannie przygotowane przybory ratownicze.

Profesor tymczasem spoglądał w zadumie na cicho pluszczące nurty Wisły.

Naraz coś go zastanowiło... Podniósł głowę i przyglądać się bacznie począł...

Ależ tak, wzrok go nie mami... Parostatek zamiast płynąć pod wodę, w górę rzeki, płynie z wodą, w jej dół. A więc nie do Warszawy on płynie, a w przeciwciwną stronę!

Zaintrygowany tem wielce, zatrzymał przechodzącego obok marynarza i zapytał go:

— Dokąd płynie ten statek?

I znów w odpowiedzi posłyszał niemieckie:

— Was?

Powtórzył więc pytanie po niemiecku i tym razem posłyszał odpowiedź:

— Płyniemy do Gdańska z ładunkiem towaru.

— Do Gdańska? — zawołał zdumiony profesor — czyżbyż to nie był „Merkury”?

— Owszem, to jest „Merkury”—odrzekł mu marynarz i poszedł dalej, do swego zajęcia.

Zdumienie profesora nie miało granic... Obejrzał bilety, były na „Merkury”. Parostatek ten miał zdążać do Warszawy, a tymczasem podąża do Gdańska... Co to ma znaczyć?... i na czem polega cała pomyłka...

Zdenerwowany tem wielce, począł szukać kapitana, by zasięgnąć od niego informacji i znalazłszy, dowiedział się, co następuje:

Parowiec rzeczywiście nazywał się „Merkury” i należał do gdańskiego tow. żeglugi. W przystani na Wiśle stały obok siebie dwa parowce tej nazwy, które dziwnym trafem odpływały razem, lecz każdy w inną stronę. Profesor wsiadł na parowiec, dążący do Gdańska.

Wiadomość ta zmartwiła go wielce. Omyłka ta narażała go na wielką stratę czasu.

— Co teraz robić?—spytał kapitana, typowego prusaka.

— A no nic. Musi pan jechać z nami do najbliższej stacji, gdzie się zatrzymamy.

— A gdzie to będzie? — dopytywał się dalej profesor.

— We Włocławku, tam możemy wysadzić pana na ląd.

— A jak prędko tam staniemy? — spytał profesor, coraz bardziej przygnębiony tem, co słyszał.

— Za jakieś trzy godziny—odrzekł kapitan i skłoniwszy się grzecznie, ruszył do swoich zajęć.

Profesor zmartwiony był nie żartem. Taka przygoda nie mogła bynajmniej wpłynąć na pośpiech w podróży. Cała nadzieja jego spoczywała w tem, że we Włocławku znajdzie parostatek, który zabierze ich i z powrotem przewiezie do Płocka, skąd znów, po zaopatrzeniu się w gotówkę, gdyż wszystką zostawił w hotelu, pod pieczą pani Marcinowej, ze sobą biorąc tylko nieznaczną kwotę na zaspokojenie pilnych wydatków, wyruszy w dalszą drogę.

Z niecierpliwością spoglądał to na zegarek, to na widnokrąg przed sobą, patrząc, czy rychło błysną przed nim wieżyce świątyń włocławskich.

Tuż obok niego stał Pawełek, w głębi duszy rad z całej przygody, która mu nowych wrażeń dostarczyć miała.

Wreszcie w oddali błysnęły krzyże świątyń Włocławka.

Zdenerwowany i przejęty chwilą profesor, pobiegł czemprędzej do kajuty, zebrał swe rzeczy w ręczną walizkę i wyszedłszy na pokład, czekał niecierpliwie chwili, gdy statek zawinie do przystani.

Już było widać ją i stojące przy niej parowce, gdy do profesora podszedł jeden z załogi i podając papier jakiś, rzekł:

— Proszę, niech pan zapłaci rachunek.

— Rachunek? — spytał zdziwiony profesor — jaki rachunek?

— No, rachunek za przejazd — objaśnił gburowato marynarz — cóż pan myśli, żeśmy go darmo przewieźli?

— Ależ ja wsiadłem przez pomyłkę, ja wcale nie chciałem w tę stronę jechać...

(D. c. n.)

DZIADY.

(WYJĄTEK Z POEMATU MICKIEWICZA).

Ciąg dalszy.

Chór nocnych ptaków.

Darmo żebrze, darmo płacze:
My tu czarnym korowodem,
Sowy, kruki i puhacze.
Niegdyś, panku, sługi twoje,
Któreś ty pomorzył głodem,
Zjemy pokarmy, wypijem napoje.
Hej, sowy, puhacze, kruki,
Szponami, krzywemi dzioby
Szarpajmy jadło na sztuki!
Chociażbyś trzymał już w gębie,
Ja i tam szponę zagłębię;
Dostanę aż do wątroby.
Nie znałeś litości, panie!
Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości.
Kruk. Nie lubisz umierać z głodu?
A pomnisz, jak raz w w jesieni
Wszedłem do twego ogrodu?
Gruszka dojrzewa, jabko się czerwieni;
Trzy dni nic nie miałem w ustach,
Otrząsnąłem jabłek kilka.
Lecz ogrodnik skryty w chrustach
Zaraz narobił hałasu
I poszczuł psami jak wilka
Nie przekroczyłem tarasu,
Dopędziła mię obława;
Przed panem toczy się sprawa,
O co? o owoce z lasu,
Które na wspólną wygodę
Bóg dał, jak ogień i wodę.
Ale pan gniewny zawoła:
„Potrzeba dać przykład grozy“.
Zbiegł się lud z całego sioła,
Przywiązano mię do sochy,
Zbito dziesięć pęków łozy.
Każdą kość, jak z kłosa żyto,
Jak od suchych strąków grochy,
Od skóry mojej odbito!
Nie znałeś litości, panie!
Chór ptaków Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!
Sowa. Nie lubisz umierać z głodu?
Pomnisz, jak w kucyę samą,
Pośród najtęższego chłodu,
Stałam z dziecięciem pod bramą.
Panie! wołałam ze łzami,
Zlituj się nad sierotami!
Mąż mój już na tamtym świecie,
Córkę zabrałeś do dwora,
Przy piersiach maleńkie dziecię,
Panie, daj nam zapomogę,
Bo dalej wyżyć nie mogę!
Ale ty, panie, bez duszy!
Hulając w pjanej ochocie,
Przewalając się po złocie,
Hajdukowi rzekłeś zcicha:
„Kto tam gościom trąbi w uszy?
Wypędź żebraczkę do licha“.
Posłuchał hajduk niecnota,
Za włosy wywlekł za wrota!
Wepchnął mię z dzieckiem do śniegu!
Zbita i przeziębła srodze,
Nie mogłam znaleźć noclegu;
Zmarzłam z dziecięciem na drodze.
Nie znałeś litości, panie!
Chór ptaków. Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości.
Widmo. Niema, niema dla mnie rady!
Darmo podajesz talerze,

Co dasz, to ptactwo zabierze.
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!
Tak muszę dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.
Chór. Tak musisz dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.
Guślarz. Gdy nic tobie nie pomoże,
Idźże sobie precz, nieboże.
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha.
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju,
Zostaw nas w pokoju.
A kysz, a kysz!
Chór. A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha.
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju,
Zostaw nas w pokoju!
A kysz, a kysz! (Widmo znika).
Guślarz. Podajcie mi, przyjaciele,
Ten wianek na koniec laski,
Zapalam święcone ziele,
W górę dymy, w górę blaski!
Chór. Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?
Guślarz. Teraz wy, pośrednie duchy,
Coście u tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Żyłyście z ludźmi pospołu;
Lecz od ludzkiej wolne skazy,
Żyłyście ni nam, ni światu.
Jako te cząbry i ślazy,
Ni z nich owocu, ni kwiatu.
Ani się ukarmi zwierze,
Ani się człowiek ubierze;
Lecz w wonne skręcone wianki
Na ścianie wiszą wysoko.
Tak wysoko, o ziemianki,
Była wasza pierś i oko!
Która dotąd czystem skrzydłem
Niebieskiej nie przeszła bramy,
Was tem światłem i kadzidłem
Zapraszamy, zaklinamy.
Chór. Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie?
Guślarz. A toż czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza,
By z jeziora wody dostać,
Tak ona świeci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.
Guślarz i starzec. Do nóg biała spływa szata
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

GUŚLARZ I DZIEWCZYNA.

Guślarz. Na głowie ma kraśny wianek,
W ręku zielony badylek,
A przed nią bieży baranek,
A nad nią leci motylek.
Na baranka bez ustanku
Woła: baś, baś, mój baranku!
Baranek zawsze zdaleka:
Motylka rózeczką goni,
I już, już trzyma go w dłoni;
Motylek zawsze ucieka.
Dziewczyna. Tu niegdyś, w wiosny poranki,
Najpiękniejsza z tego sioła,
Zosia pasając baranki,
Skacze i śpiewa wesoła.
La la la la.

Oleś za gołąbków parę
Chciał raz pocałować w usta;
Lecz i prośbę i ofiarę
Wyśmiała dziewczyna pusta.
La la la la.

Józio dał wstążkę pasterce,
Antoś oddał swoje serce;
Lecz i z Józia i z Antosia
Śmieje się pierzchliwa Zosia.
La la la la. [1])

Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski,
Imię moje u was głośne.
Że chociaż piękna, nie chciałam zamęścia
I dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,
Umarłam nie znając troski,
Ani prawdziwego szczęścia.
Żyłam na świecie; lecz, ach! nie dla świata!
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni.
Za lekkim zefirkiem goni,
Za muszką, za kraśnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem;
Ale nigdy za kochankiem.

---

[1]) Z Getego. A. P.

Pieśni i fletów słuchałam rada:
Często kiedy sama pasę,
Do tych pasterzy goniłam stada,
Którzy mą wielbili krasę;
Lecz żadnego nie kochałam.
Za to po śmierci nie wiem, co się ze mną dzieje,
Nieznajomym ogniem pałam;
Choć sobie igram do woli,
Latam, gdzie wietrzyk zawieje,
Nic mię nie smuci, nic mię nie boli,
Jakie chcę wyrabiam cuda.
Przędę sobie z tęczy rąbki,
Z przeźroczystych łez poranku
Tworzę motylki, gołąbki.
Przecież nie wiem, skąd ta nuda:
Wyglądam kogoś za każdym szelestem,
Ach — i zawsze sama jestem!
Przykro mi, że bez ustanku
Wiatr mną, jak piórkiem pomiata.
Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego [świata.
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali,
Pędzi w górę, w dół, z ukosa:
Tak pośród pierzchliwej fali
Wieczną przelatując drogę,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani ziemi dotknąć nie mogę.

(D. n.)

DZIEŃ ZADUSZNY.

Ze wszystkich świąt naszych, Dzień Zaduszny jest dniem najrzewniejszym, najwięcej mającym w sobie cichej powagi i skupienia.

Uroczystościom wielkotygodniowym, budząca się ze snu zimowego przyroda, dnie dłuższe i jaśniejsze, nadają łagodniejszą cechę.

Inaczej jest w Listopadzie, kiedy natura cała harmonizuje ze smutkiem i żalem ludzi, którzy stracili drogie sercu osoby: takich bólem przejmuje widok przedwcześnie nieraz opadłych liści i ciężkie, niby łzy, krople jesiennego deszczu...

To też każdy, prawdziwie i głęboko kulturalny człowiek z duszą zdolną współczuć cierpieniom bliźnich, uszanuje ich ból; nie urazi go i nie rozbudzi na nowo wesołym wyrazem twarzy, lub głośną a nieraz i żartobliwą rozmową przy drogich im mogiłach.

Ust jego nie poruszy uśmiech ironiczny na widok mnóstwa kwiatów, złożonych na grobie córki, która była jedyną radością i nadzieją rodziców, lub zabawek dziecinnych, postawionych ręką matki na małej mogiłce, w której jej szczęście spoczywa.

Niepodobna wzbudzić w sobie uczucia żalu po osobach, zupełnie nam nieznanych — i tego nikt od nas wymagać nie może; lecz uszanować uczucia drugich, jest rzeczą łatwą, którą możemy i powinniśmy zawsze spełniać.

Bądźmy dobrymi, aby życie nasze pozostawiło ślady trwalsze w sercach i pamięci ludzkiej, nad szmer spadających, obumarłych liści, o których nikt nie wspomni, gdy nowa wiosna nadejdzie!

KRONICZKA.

△ Turcję ze wszystkich stron spotykają niepowodzenia. Pod Kirk-Kilissą rozgromili ich Bułgarzy, Serbi odnoszą zwycięztwo za zwycięztwem, Czarnogórcy posunęli się aż do Skutari, a Grecy staczają jedną zwycięzką potyczkę za drugą, wdzierając się coraz dalej w głąb Turcji.

△ We Lwowie zmarł znany chirurg, profesor uniwersytetu lwowskiego, dr. Kadyj. Zmarły zostawił szereg cennych prac z zakresu medycyny.

△ W sali ratuszowej, od dnia 5-go do 15-go Grudnia odbędzie się wystawa lalek i zabawek na rzecz Tow. Dobroczynności. Zapewniony jest udział lalek w strojach ludowych, nadesłanych ze wszystkich stron kraju. Wystawa ta zapewne sprawi wielką uciechę naszej dziatwie.

„O własnych siłach“.

SZARADA

ułożona przez «Warszawiankę».

Pierwsze spójnik, zaś *drugie* blisko i daleko.
Bo wprost jest naszą rybą, wspak w Afryce rzeką.
Wszystko to gród, co z dziejów łańcuchem się sprzęga,
Tak długim, że aż Leszka Czarnego dosięga.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Siostrę Błękitnego Krzyża.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 18 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko powieściopisarza polskiego.

Sylaby: a, e, a, a, dniepr, gro, e, gu, cy, staw, fa, tysz, ko, nja, try, ir, ka, nek, o, ron, wa, che, to, lo, ter, o, za, ta, ło, le, rak, ment, lo, dja, ko, ska, ne, me, nie, mja, ry, no, sól, bo, ka, da, la, wie, rach, go, da.

Znaczenie wyrazów:

1. Postać mitologiczna.
2. Naród mitologiczny.
3. Bogini niezgody.
4. Słowiańska bogini szczęścia.
5. Przyprawa do potraw.
6. Inaczej rolnictwo.
7. Utwór Zygmunta Krasińskiego.
8. Rzeka w Europie.
9. Inaczej żywioł.
10. Skorupiak.
11. Postać z Dziadów A. Mickiewicza.
12. Gatunek wierzby.
13. Rzeka w Europie.
14. Miejsce sławne przegraną Napoleona I.
15. Rzeka mitologiczna.
16. Gatunek motyla.
17. Prowincja włoska.
18. Rzeka w Azji.

Łamigłówka geograficzna

ułożona przez «Warszawiankę».

—o—

Z następujących sylab ułożyć 13 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko sławnego poety polskiego.

Sylaby: lon, lo, rou, niz, rie, kuck, skie, gwaj, sa, el, ta, ko, o, u, e, lan, ja, kar, ma, dja, ra, ba, za, ne, nja, dra, en, dyn, ru, ja, pen, is, poń, rja.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Niemczech.
2. Rzeka w Europie.
3. Miasto we Francji.
4. " " "
5. Jezioro w Ameryce.
6. Miasto w Europie.
7. Rzeka w Ameryce.
8. Miasto w Azji.
9. Rzeka w Europie.
10. Morze w Azji.
11. Miasto nad Wołgą.
12. Zatoka w Australji.
13. Wyspa na oc. Atlantyckim.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Doli. Wierszyk b. słaby, drukowanym być nie może.

Hani P. jedną łamigłówkę umieszczę; też samą odpowiedź daję *Mewie.*

Leśnej Konwalji. Łamigłówkę literacką zamieszczę: na zapytania, zawarte w liście, odpowiem nieco później.

Borucie ze Skarżyska. Tak łamigłówka, jak szarada, są błędnie ułożone, drukowane więc być nie mogą.

Białego Orlika łamigłówkę mitologiczną przyjmuję.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 40-go nadesłali: Jan Schaff, Złota Myśl, Jerzy Dufrène.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 41-go nadesłali: Kasiunia z Sitańca, Płomyk z Bierwieńciszek, Wacław Szmagier, Złota Myśl, Aleksander Pawlikowski.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 42-go nadesłali: Gucia Wolfowiczówna, Płomyk z Bierwieńciszek, Kasica z Sitańca, Astra, Lwie Serce, Zosia Nowicka, Biały Orlik, Henia Inwald, Janek Drozdowski, Towarzysz Pancerny, Janina Holstein.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 40.

1. Stanisławów
2. Tyszowce
3. Ejragoła
4. Firlej
5. Augustów
6. Nieszawa
7. Czemierniki
8. Zawichost
9. Andrzejów
10. Rejowiec
11. Nowo-Radomsk
12. Ignaców
13. Elżbietów
14. Chęciny
15. Kraśnik
16. Iwangród

Stefan Czarniecki.

Rozwiązanie łamigł. kreskowej z Nr. 40.

				W				
			L	***i***	s			
		R	z	***e***	k	a		
	B	i	e	***l***	a	n	y	
W	***i***	***e***	***l***	***i***	***c***	***z***	***k***	***a***
	K	a	r	***c***	z	m	a	
		K	r	***z***	y	ż		
			O	***k***	o			
				A				

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.